

Niezwykły gość

Autor: Boryczka Robert



Zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę. Telefonował jakiś człowiek. Nie bardzo rozumiałem, o co chodzi. Dostał numer mojego telefonu od kogoś z Polski. Mówił dziwną mieszaniną polskiego, rosyjskiego i ukraińskiego. Dzwonił z miasta Szachty, położonego jakieś 75 km od Rostowa. W końcu zorientowałem się, że chciałby się ze mną spotkać, najchętniej już następnego dnia. Nie wiedziałem jednak, w jakim celu. Niezbyt chętnie zgodziłem się na spotkanie za dwa dni, w sobotę o godz. 13:00. Chciał, abym wyszedł po niego na dworzec autobusowy. Powiedziałem mu, że nie mogę i podałem mój adres.

W sobotę o jedenastej zadzwonił dzwonek do drzwi. Byłem umówiony z jednym ze studentów z mojej małej grupy studium biblijnego. Jednak, gdy otworzyłem drzwi, zobaczyłem za progiem nie studenta, a starszego człowieka.

- Czy brat Robert? Już jestem - powiedział, uśmiechając się.

Musiałem mieć jakąś niewyraźną minę, bo sięgnął po paszport.

- Abyś się, bracie, nie bał, oto mój paszport. Przeczytałem imię i nazwisko: Konstanty Wołownik.

Nic mi to nie mówiło. Usiedliśmy w naszym gościnnym pokoju. Ten starszy człowiek nie chciał herbaty. Wyjaśnił, że mój telefon podała mu pewna siostra z Kościoła Metodystycznego w Międzyrzeczu. O ile dobrze zrozumiałem, znał ją z dawnych czasów, gdy mieszkali razem w Iwanówce (miejscowość na Ukrainie). Poza tym, okazało się, że jest z pochodzenia Polakiem. Po takim krótkim przedstawieniu się rozpoczął swoją opowieść.

Urodziłem się w 1924 roku. Dość wcześnie poznałem Boga, stałem się człowiekiem wierzącym i przyjąłem chrzest. Od razu byłem bardzo aktywny. Gdy miałem 21 lat, wybrano mnie na pastora w moim zborze. W tych czasach nie było bezpiecznie być pastorem. Ożeniłem się z Rosjanką. Sześć miesięcy po tym, jak urodziła nam się córka, aresztowano mnie. Był 1947 rok. Gdy córka miała półtora roku, władze wysłały moją żonę z córką na Syberię. Warunki w drodze były bardzo ciężkie. Razem z żoną i moim dzieckiem wysłano wielu różnych ludzi, nie tylko chrześcijan. Nie było co jeść. Ludzie umierali w drodze, a szczególnie dzieci. Z wielu dzieci w tym transporcie, przeżyła tylko dwójka, w tym moja córka. Gdy dotarli na Syberię, zostawiono ich w szczerym polu i powiedziano: "Tutaj będziecie żyli!". Pozostawiono ich samych sobie. Ludzie kopali ziemianki i w nich mieszkali. Dla żony to był bardzo trudny okres. Nie tylko ciężko było tam żyć, ale musiała jeszcze znosić drwiny współwyznawców ze względu na swoją wiarę. W końcu jej psychika nie wytrzymała i moja żona postradła zmysły. Umieszczono ją w zakładzie psychiatrycznym. Dziecko pozostawiono samemu sobie. Wychowywało się na ulicy. Nieraz spało pod gołym niebem. Gdy wiadomość o chorobie żony dotarła do mnie, dostałem zawału serca. Sparaliżowało mi lewą stronę ciała i lewą rękę miałem zupełnie bezwładną. Byłem w więzieniu, sparaliżowany i nie mogłem w żaden sposób ani pomóc żonie, ani zaopiekować się moim dzieckiem. Poprosiłem braci z Syberii, aby zaopiekowali się moją córką. Bracia odnaleźli ją i starali się jakoś pomóc. Zmieniono jej imię i nazwisko. Udało się ją umieścić w

internacie, by mogła chodzić do szkoły - tutaj brat Konstanty zrobił małą przerwę.

Po chwili mówił dalej.

Jednak Pan Bóg nie zapomniał o nas. Stalin umarł i w 1957 roku wypuszczono mnie z więzienia. Ogłoszono amnestię i wielu ludzi wyszło wtedy na wolność. Uniewinniono mnie i oczyszczono z zarzutów. Pojechałem na Syberię. Zabrałem żonę z zakładu a córkę z internatu. Mogliśmy w końcu mieszkać razem. Żonę musiałem mieć ciągle na oku, bo nie wiadomo, co mogło jej przyjść do głowy. Przez cały czas nie rozpoznawała mnie. Mówiła: "Wiem, że mój mąż jest w więzieniu". Nie pomagał fakt, że ciągle powtarzałem, że to ja jestem jej mężem.

Któregoś dnia przyjechali do nas bracia, którzy podróżowali do Tadżykistanu. Zapytali mnie: "Czy ty, bracie, modliłeś się za żonę?". Odpowiedziałem, że i ja, i zbór modliliśmy się i pościliśmy, lecz Pan Bóg nie uzdrowił jej. Zapytali: "Czy pozwolisz, abyśmy poprosili o modlitwę za twoją żonę te zbory, do których jedziemy?". Ustaliliśmy konkretny dzień, w którym będziemy wspólnie modlić się i pościć. Tego dnia nabożeństwo w naszym zborze przedłużało się. Wróciliśmy do domu po drugiej w nocy. Pamiętam drogę do domu i rozczarowanie, że Pan Bóg nie odpowiedział na nasze modlitwy. Następnego dnia żona wstała wcześniej ode mnie. Słyszałem, jak coś przestawiała w kuchni. Pomyślałem, że powinienem wstać, aby zobaczyć, co robi. Niespodziewanie wróciła, stanęła nad łóżkiem i zaczęła mi się przypatrywać. Nie za bardzo wiedziałem, co się dzieje. Po chwili powiedziała: "Konstanty, ty wróciłeś? Wypuścili cię?". Rzuciła się na mnie z płaczem. "A gdzie nasza córka?" - zapytała. Łkając, przywitała się i z nią.

Nastąpiła przerwa w opowiadaniu. Po twarzy Konstantyna popłynęły łzy. Ja też nie wytrzymałem. Powoli zaczynałem rozumieć, dlaczego brat Konstanty zjawił się u mnie. Oto człowiek, który doświadczył bardzo wyraźnie w swoim życiu działania żywego Boga. Jego życie było bardzo trudne, ale pozostawał wierny Bogu. Był wierny Bogu i Pan okazał mu swoją łaskę. Ufał Bogu i został za to nagrodzony. Ja nie cierpiałem tak jak on ze względu na wiarę, a bywa, że jest mi ciężko w życiu i jest mi trudno ufać Bogu. Choćby teraz. Mój synek Borys jest w szpitalu. Urodził się półtora miesiąca przed terminem. Na początku wyglądało na to, że ma małe szanse na przeżycie. Czułem się zły i bezsilny, że nie mogę pomóc mojemu dziecku. Nawet trudno mi było się modlić. Teraz wykryto u Boryska jakiegoś wirusa, trzeba go leczyć...

Chwilę milczeliśmy, po czym brat Konstanty podjął swą opowieść:

Kiedyś dowiedziałem się, że do Tallina przyjeżdża pewien Boży człowiek, którego Pan Bóg obdarzył darem uzdrawiania ludzi. Był metodystą. Pojechałem do niego. Zapytał mnie: "Czego ode mnie chcesz?". Odpowiedziałem, że chciałbym, by pomodlił się o mnie. Rozmawialiśmy, a potem on modlił się o mnie. Po tym powoli wracało mi czucie w lewej stronie mojego ciała i w lewej ręce. Po jakimś czasie całkowicie odzyskałem zdrowie. Wiem, że to Pan Bóg mnie uzdrowił. Od tego czasu nikt mi nie powie, że Pan Bóg nie działa w jakimś Kościele: baptystycznym, metodystycznym, zielonoświątkowym czy jakimkolwiek innym.

Mój gość spędził w więzieniu w sumie 21 lat. Zamykano go jeszcze dwukrotnie na pięć lat za czasów Chruszczowa i Breżniewa. I byłby jeszcze trzeci raz, ale Pan Bóg nie dopuścił do tego. Brat Konstanty wiedział, że następnego dnia będzie aresztowany i spędzi w więzieniu

kolejne pięć lat. Jednak człowiek, który miał podpisać decyzję o uwięzieniu, umarł tej nocy.

Pan Bóg jest łaskawy - skomentował to mój rozmówca.

Jakie było najtrudniejsze wydarzenie w życiu brata? - zapytałem.

Przeżyłem dużo. Często byłem bity, najczęściej w brzuch, mam tam wszystko pokiereszowane. Czasami zastanawiam się, dlaczego Pan Bóg dał mi łaskę tak długiego życia. Chyba po to, abym był żywym świadectwem. W każdym bądź razie bicie nie było czymś najgorszym. Pan Bóg dawał mi siłę i często nawet nie czułem bólu. Trzy razy konfiskowano mi wszystko, co posiadałem. To też nie było najtrudniejsze. Najtrudniejsze były dwa momenty. Pierwszy, kiedy byłem pierwszy raz w więzieniu i przez siedem miesięcy nie pozwolono żonie zobaczyć się ze mną. Widziałem przez okno, jak stała przed bramą więzienia. Przychodziła codziennie, bo miała nadzieję mnie zobaczyć. Urzędnik postawił mi warunek: "Podpisz oświadczenie, że nie będziesz zajmował się działalnością religijną i możesz się z nią spotkać". Nie zobaczyliśmy się wówczas. Drugi moment był wtedy, gdy dowiedziałem się, że moja żona postradała zmysły. To było bardzo trudne.

Im dłużej rozmawialiśmy, tym bardziej uświadamiałem sobie, że czuję się osądzany. Nie, nie przez niego, a przez Pana Boga. Już sama obecność tego Bożego człowieka wprowadzała swoistą atmosferę świętości i obecności Pana Boga. Czułem się zmuszony na nowo zastanowić się nad moją wiarą, nad moim zaufaniem Bogu, nad moim oddaniem i poświęceniem życia dla Jego chwały. Czy naprawdę tak do końca oddałem moje życie w ręce Boga? Jaki jest cel mojego życia? Jakie są moje plany i dążenia?

Wyszedłem do kuchni, aby przygotować obiad. Zostawiając moje dzieci z niezwykle gościem, trochę się obawiałem: Czy będą się zachowywać tak, jak powinny się zachować dzieci wierzących rodziców i misjonarzy? Co będą mówić? Jak się okazało, na pytanie, co najbardziej lubią robić, odpowiedziały: "Oglądać telewizję i grać w gry na komputerze". To normalna odpowiedź, ale zacząłem się zastanawiać, czy dzieci wierzących rodziców właśnie to powinny najbardziej lubić? Chciałbym, aby odpowiedź brzmiała na przykład: "słuchać, jak tato opowiada historie biblijne" albo choćby "bawić się z tatą". Chyba coś jest nie tak ze mną, jako ojcem.

Kilka razy brat Konstanty modlił się za moją rodzinę, za naszego synka Borysa i moją żonę, która teraz całe dni spędza z nim w szpitalu.

Dowiedziałem się jeszcze, że ma troje wnuków i już ośmioro prawnuków. Jest pastorem 300-osobowego kościoła zielonoświątkowego nie rejestrowanego. Nie rejestrowanego, to znaczy takiego, który w czasach komunizmu nie poddał się presji władz i nie zarejestrował się, nie pozwalając tym samym władzom na kontrolę i ingerencję w sprawy zboru. W czasach komunizmu właśnie nie rejestrowane Kościoły były szczególnie prześladowane.

Zjedliśmy wspólnie obiad i potem odprowadziłem brata Konstantego na przystanek autobusowy. Zaprosił mnie do swojego zboru. Zakończyła się pięciogodzinna wizyta niezwykle gościa.

Pół roku później byłem u Konstantego w domu. Cóż – był nie tylko pastorem ale biskupem, a mieszkał w domu, który ja nazwałbym lepianką. Jakiś czas temu zaczął budowę murowanego domu, ale, jak mówił, nie starczało mu czasu, by ją zakończyć. Poznałem jego żonę i córkę.

Byłem na nabożeństwie w jego kościele i nawet mówiłem kazanie.

A dwa lata po powrocie do Polski dostałem list od jego córki, że brat Konstanty odszedł do Pana. Czas szybko leci – dobrze będzie spotkać go znowu.

Historia pochodzi z książki Roberta Boryczki p.t. „Uśmiech Boga”®